



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Biały niedźwiedź w niewoli. (str. 144).

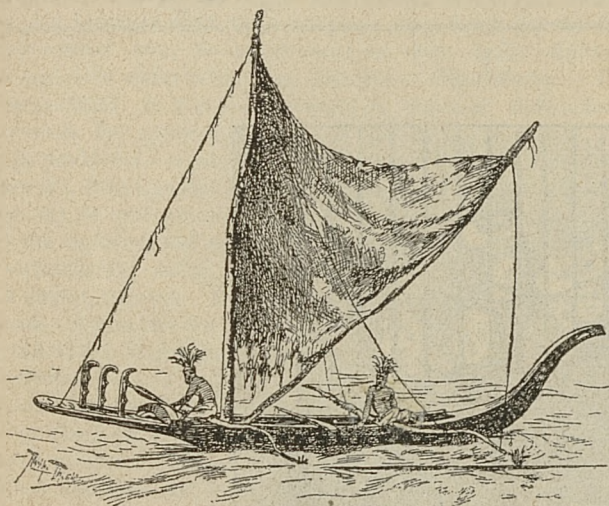
Sprawozdanie z konkursu—patrz dodatek.  
398 prób pisma, 110 nagród.

Władysław Ulmiński.

## HISTORIA ŚRODKÓW KOMUNIKACYI.

(Dokończenie rozdz. III.)

Szkoda, że wyspiarze oceanu Spokojnego zaniedbują coraz bardziej budowę swych statków, a uciekają się do usług europejskich szalup i bacików, z którymi nie potrafią się obchodzić. W 1879 r. kilku wyspiarzy z archipelagu Marszałkowskiego, puściwszy się na ocean w schonerze (rodzaj małego statku żaglowego) błądziło po przestworach przez parę tygodni i przebyło olbrzymią przestrzeń 1500 mil morskich.



Piroga z trójkątnym żaglem i pływakiem z wysp Markizkich.

Największe łodzie posiadają Malajczycy. Ich *proasy* albo inaczej *promy*, są to prawdziwe okręty, o jednym, dwóch a nawet trzech masztach, mogące pomieścić przeszło stu ludzi.

Rzemiosło żeglarsza cieszy się u Malajczyków wielkim poważaniem; szkoda tylko, że lud ten, korzystając ze swych zdolności żeglarskich, oddaje się rozbójnictwu morskemu.

Bardzo ciekawymi statkami są te, jakie widzimy u niektórych plemion amerykańskich i australskich.

Za czasów Kuka, Australczycy pływali po wodzie na zwyczajnym kawałku kory, później jednak nauczyli się wiązać ową korę na obu końcach, i w ten sposób otrzymali lekkie łódki, zamknięte ze wszystkich stron.

Brazylijscy Indianie Bakairowie z kory drzewa jatuty wyrabiają doskonałe łódki, sięgające 6 metrów długości. W tym celu obdzierają oni zręcznie pień z kory, wznosząc burty żerdziami, rozszerzając w środku, koniec zaś wiążą.

Indianie kanadyjscy budują zadziwiająco mocne a przytem lekkie łódki w następujący sposób: robią najprzód szkielet z powiązanych mocno i powyginanych żerdzi, a następnie pokrywają go korą brzoową, zatykając szczeliny żywicą.

Ludy północne, nie mając pod ręką wielkich drzew, zastąpiły korę daleko lepszym materiałem, mianowicie skórą.

Kajak eskima grenlandzkiego jest prawdziwym arcydziełem, szkielet tej przepysznej łódki jest zrobiony z fiszbinu, z drzewa lub kości, powiązanych ściągami renów i wielorybiami żyłami; powłoka składa się z tłustej, nieprzemakal-

nej skóry foki, albo innego zwierzęcia. W pośrodku pokładu znajduje się otwór, w którym siedzi żeglarz i wiosłuje podwójnem wiosłem.

Doświadczenie wykazało, że kajak stanowi doskonały środek do podróży morskiej, wytrzymuje bowiem z łatwością nawet burzę, gdyż ani jedna kropla wody nie może się dostać do środka. Na tych lekkich stateczkach Eskimosi zapuszczają się daleko od lądu i nie wahają się rzucić z nich harpunu na foki, a nawet na morsy!

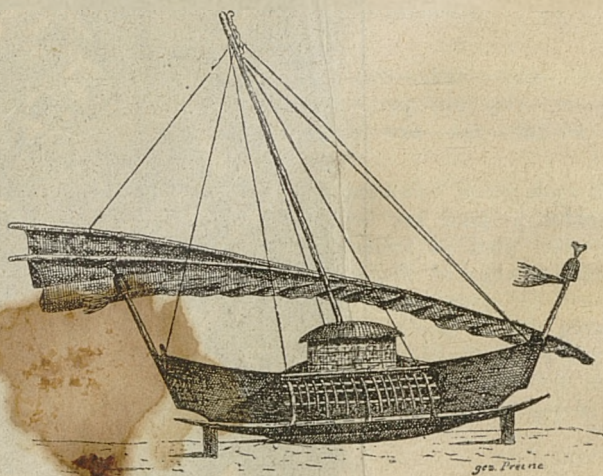
Tutaj najbardziej uwidoczni się prawdziwość przysłowia, które powiada, że potrzeba jest matki wynalazków i najgenialniejszy europejczyk nie obmyśliłby na pewno lepszego statku od kajaka, gdyby mu dano za jedyny materiał trochę drzewa i skór.

Eskimowie ćwiczą się od najmłodszego wieku w sztuce żeglarskiej, najulubieńsze ich igrzyska polegają na tem żeby przewrócić w wodzie koziołka z kajakiem, potem podnieść się i płynąć spokojnie dalej.

Dobre łodzie skórzane, zwane *bajdarami* napotykamy także u syberyjskich Czukczów; dochodzą one czasem 8 m. długości i mieszczą do 5 osób. Szkielet składa się z drzewa, powłoka ze skóry morsów.

Z powyższego widzimy, że sztuka żeglarska nie stoi jednakowo wysoko u plemion dzikich; jedne z nich posiadają doskonałe statki, znają się z morzem i odbywają odległe nawet podróże, podczas gdy inne umieją skłecić zaledwie nędzną łódkę lub tratwę i niechętnie puszczają się z dala od brzegów. Do pierwszych należą np. Karolínczycy, do drugich mieszkańcy stałego lądu Australii i Afryki.

Nie wszystkie ludy mają przytem *żugiel, ster i wiosło*. I tak: Australczycy pływają na pękach łożyny albo na pniach drzewnych, wiosłują rękami; krajowcy Ziemi cesarza Wilhelma, używają w tym celu ogonka liścia kokosowego. Do wynalazku wiosła prowadzi spostrzeżenie, że płaski i zanurzony na końcu drag, popycha znacznie prędzej łódkę. Z początku pióro (łopatką) wiosła jest okrągłą deseczką, przywiązaną do kija, później dopiero przybiera ona formę wydłużoną i stanowi z kijem jedną całość.



Wielka łódź z wysp Marszałkowskich.

Najprostsze na pozór wynalazki nie zjawiają się więc odrazu w udoskonalonej postaci.

Dzicy wiosłarze wiosłują podobnie jak u nas rybacy po jednej stronie łódki z twardą zwróconą naprzód i przy czem stoją albo siedzą. Jeżeli wiosłarzy jest na statku kilkunastu, wtedy sternik wybija takt albo też wszyscy śpiewają chórem piosenki.

Również naturalnym wynalazkiem, jak wiosło, jest żagiel, spożytkowujący siłę wiatru do popychania statku. Dziś Indianin w Gujanie (Ameryka) używa poprostu dużego liścia palmowego; Murzyni, wyspiarze oceanu Spokojnego,

robią żagle z mat t. j. tkanin plecionych z włókien kokosowych i traw. Wzmiankowani wypiarze nadają swym żaglom formę trójkątną (żagiel łaciński). Czworokątne żagle znajdujemy u Papuasów w Nowej Gwinei, w północno zachodniej Ameryce i u Malajczyków.

Żagiel przez długie wieki panował z żegludze i dopiero na początku wieku bieżącego siłę wiatru zastąpiono siłą pary.

Widzimy z tego szkicu, że narody dzikie nie wzniosły się nigdy ponad pewien dosyć niski szczebel; prawdziwe okręty potrafią tylko budować ludy ucywilizowane, rozporządzające potężnymi środkami pomocniczymi i udoskonalonemi narzędziami pracy.

Sztuka żeglarska, w znaczeniu dzisiejszem zjawiła się dopiero wtedy, gdy ludzie zapoznali się z ruchami i położeniem gwiazd, z igłą magnesową i kiedy nauczyli się rysować mapy geograficzne, wskazujące drogę marynarzowi wśród skał i lądów.

Dziejami żeglugi ułudów ucywilizowanych zajmujemy się w następnym artykule.



Zofia Urbanowska.

## ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

— Postać to z dawnych pozostała czasów, gdy całą dolinę Zakopanego pokrywał jeden las, gdy nie było kościoła ani dróg jezdnych, a w chatkach rzadka gdzieś gdzie rozsypanych, żelazne kraty w oknach zabezpieczały od napadu zbójników, których sława rozbrzmiewała po górach, siejąc postrach.

Doktor zamilkł, a sir Edward zapytał:

— Jest to zatem artysta muzyki, czy improwizator?

— Jest to wyborny opowiadacz przedewszystkiem — wstrzącił malusz. — Pasterstwo, myśliwstwo, rozbójnictwo, są głównym przedmiotem jego opowiadań, jak były głównymi przejawami życia górali. Żyjący tu lud pasterski toczyć musiał walkę z wilkiem, orłem, niedźwiedziem i potężnymi siłami przyrody, a także z sąsiadami po drugiej stronie gór żyjącymi.

— Z Węgrami zatem — wtrzącił baronet.

— Nie, z Liptakami, należącymi do szczepu słowackiego. Zmuszała ich do tego często konieczność. Ziemia górskie są bardzo ubogie; pod cienką warstwą wierzchnią jest lita skała. Ze zbóż rodzi się tylko owies; z jarzyn kartofle i kapusta — która jednak w głowy zwijać się tutaj nie chce. Ztąd nawet urodziła się piosenka:

„Oj biedna, biedna ta nasza kraina,  
Gdzie chleb się kończy a skała zaczyna.”

Góral mówi o sobie, że „żyje powietrzem, wodą i głodem.” Gdy brakowało owsianego chleba po tej czy tamtej stronie gór, to jedna strona zdobywała sobie, czego jej było trzeba, przemocą na drugiej, i ztąd urosła istniejąca do dziś jeszcze nienawiść plemienna. Sabała pamięta te czasy. Otóż z obrazów walk z ludźmi, zwierzętami i naturą, ze starych legend i bajek, składają się jego opowiadania.

— To musi być ciekawe!

— Mój kolega w sztuce, Stanisław Witkiewicz, mieszkający od lat kilku w Zakopanem, w książce swej: „Na przełęczu,” odmalował po mistrzowski fizyczny i duchowy portret Sabały. Żałuję, że panowie nie znacie języka polskiego i nie możecie czytać tego dzieła, tchnącego gorącą miłością Tatr. Witkiewicz przyrównywał jego opowiadania do pieśni Homera — bo odrzuciwszy tylko formę wiersza, której Sabała nie używał, życie ludzkie, życie pasterzy, u jednego i drugiego tak są podobne, że jeżeli na miejsce bohaterów Iliady lub Odysei postawimy naszych Walczaków lub Gąsieniców, niewiele więcej dodać będziemy musieli. Materyały, z których zbudowane są obrazy, tu i tam są te same, a natura górską do tych samych prowadzi porównań. Witkiewicz czytał Odyseę góralom, siedząc z nimi u ogniska w Roztoce, gospodzie na drodze do Morskiego oka, i słuchali jej z takim zajęciem, jak słuchają opowiadań Sabały; a sam Sabała cieszył się niewymownie z pomysłów Odyseusza.

— Hm — rzekł Warburton zamyślony — Tatry nasze, moi panowie, niepodobne są do żadnych gór, jakie widziałem, a zwiedziłem szeroki kawał świata... i ludzie tutaj inni są niż gdzieindziej, choć pozornie zdają się być tacy sami. Muszę koniecznie poznać tego tatrzańskiego Homera. Ale jeden z panów nazwał go filozofem: na czemże, proszę was, polega jego filozofia?

— Mówi, że nigdy smutnym nie był, że smutkiem żyć się nie oplaci; że Pan Bóg nawet gdy widzi człowieka smutnego „banuje” \*), że takiego stworzył. Ostatniej swej krowie, gdy mu ją zabierano za podatki, grał orawskiego marszał... Spotkałem go raz na pogrzebie wspólnego naszego przyjaciela, którego strata bezwątpienia nie była mu obojętną. Szedł za trumną z troską na twarzy, ale gdy ją wyrzucił mu swój żal, rzekł: „Fala Bogu, fala Bogu, pikne som casy”. Śmierć uważał on za fakt dokonany, którego próżny żal nie odwróci, wynalazł więc dobrą stronę tego faktu i cieszył się, że pogrzeb wypadł w pogodę. Umieć znaleźć w każdej rzeczy stronę dobrą, nie jestże to filozofia?

— Nawet więcej niż filozofia, to jest mądrość; rzadko kto do tego dojść potrafi. Słyszałem, że Sabała nosi skrzypki przy sobie: jestże więc grajkiem?

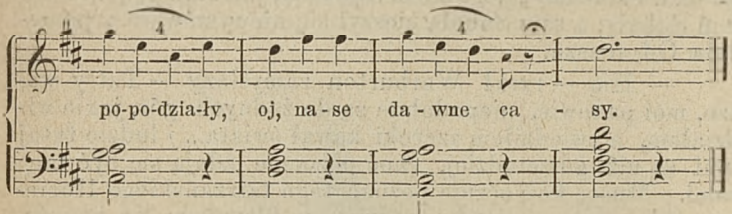
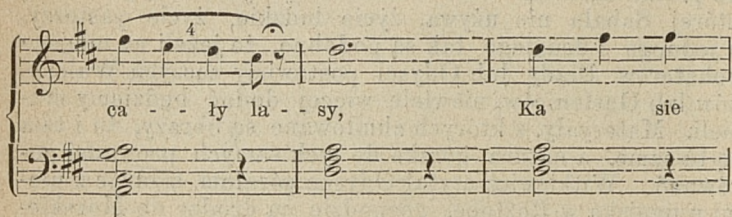
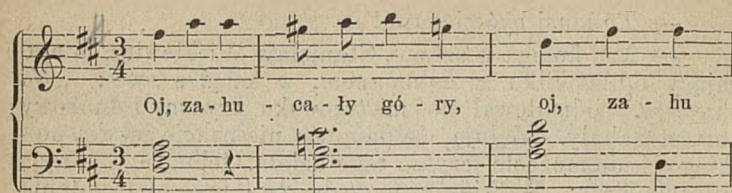
— Wygrywa starodawne melodie góralskie i improwizuje, a muzyka jego jest pełna charakteru: są w niej silne, oryginalne motywy, zagadkowe tęskne tony, które mało kto rozumie i o których on sam zdaje się nie wiedzieć, choć odzwierciedlają stan jego duszy.

Anglik patrzył w ogień tak zadumany, jakby nie słyszał tych wyrazów. Myślał on w tej chwili, że i w jego duszy odzywają się coraz silniej motywy, o których sam nie wiedział, lub mniemał że wymarły — oraz że najtrudniej jest znać samego siebie.

Chłód go widocznie owiał, bo zażądał jeszcze wina i wbrew dotychczasowemu zwyczajowi, duszkiem wychylił. Cienie, padające od skał i świerków, przybierały fantastyczne kształty do ludzkich podobne postaci. Rozmowa prowadzona półgłosem przez towarzyszy baroneta, przycichła. Słychać było tylko granie potoku i jakieś tajemnicze sznery, zmieniające się chwilami w długie, przeciągłe westchnienia. Słuch siedzących przy ogniu pochwycił w tych szmerach dalekie jakieś tony, posępne, żalosne, podobne do jęku chodzącego po szczytach wichru, lub do płaczu dziecka.

Wszyscy wytyżyli uwagę, a najodważniejszych mimo-wolny przebiegl dreszcz. Henryk czuł jak mu włosy jeżyły się na głowie: patrzył na cienie padające od skał, i zdawało mu się, że się one poruszają. Dźwięki przybliżały się i stawały coraz wyraźniejsze: można było nawet odróżnić skrzypki, których głos zdradzał konstrukcję bardzo pierwotną. Tomy szły od wirchu, a towarzyszył im śpiew.

\*) Żaluje.



Wszyscy wyteżyli wzrok w stronę, z kąd śpiew pochodził. Z góry, skalistą granią zstępowała jakaś postać, a cień jej, rysujący się na skale, nadawał jej kształty olbrzymie. Był wielki niemal jak wieża i opuszczał się powoli coraz niżej. Można było rozróżnić góralski kapelusz wielkoluda, z piórem, cuche, siekierkę i jakiś przedmiot z którego dobywały się tony. Górale patrzący z poostwieranemi szeroko oczyma, zawołali jednogłośnie:

— Sabała!



Sabała.

### VIII. Baśń Sabały.

On to był rzeczywiście: zbliżał się powoli ku ognisku, nie przestając grać i śpiewając głosem starganym:

„Oj na Orawskim zamku,  
Oj świecom siubienicki,  
W to za będzie wisiał  
Jaśko z Brzezawicki?”

— Pieśń zbójcka — szepnął doktor.

„Oj kieby ja se wiedziol,  
Oj kany bedem wisiał;  
Od wierchu do dołu,  
Piekniebym wybić dał.

Oj z wierchu dukatami,  
Oj z dołu talarkami,  
Na pośrodku sreblem,  
Pok se chłopcem dobrym.”

W czerwonym świetle ogniska ujrano przygarbionego starca, zdającego się sto lat dźwigać na sobie. Długie siwe włosy wydobywające się z pod kapelusza, ostre rysy, rysy orla z sennemi oczyma, jak o nim mówi Witkiewicz, były tak wyraziste, że wrażały się na zawsze w pamięć; zapadłe policzki, wązka linia ust, na których spoczywał w tej chwili wyraz niewysłowionego smutku, będący w sprzeczności z tem co mowiono o jego filozofii — wszystko to razem składało się na całość typową, niezwykłą, rzecby można, legendową. Gdy zdjął kapelusz, mówiąc: „Pokwalony” — odsłonił czoło wysokie, zadumane, poorane szerokimi bruzdami. Cała ta postać, którą Sienkiewicz porównał do postaci starego sępa, wyglądała jak zabytek dawno minionych czasów.

Anglicy, przypatrywali się przybyłemu z angielską flegmą; górale obścapi go, zarzucając pytaniami, a doktor i malarz, powitawszy uściskiem dłoni, przywiedli przed baroneta. Powiedziano starcowi, co to za gość i z jak daleka przybywa, dodając że słyszał o Sabale, że chce go poznać i usłyszeć bajkę o śpiących rycerzach. Sabała uśmiechnął się łagodnie i pozwalał z sobą robić co chciano. ale od opowiadania bardzo się wyprasał. Malarz więc szepnął mu, że gość zamorski ma smutek na duszy, który nosi z sobą po świecie i którego pozbyć się chce a nie może; że przyjechał z nim w Tatry, w nadziei że go tu może zatraci. Skoro pragnie tej bajki, Sabała zrobi dobry uczynek, gdy mu ją opowie, bo to gościa rozerwie.

Stary pokiwał głową i popatrzył na zamorskiego pana, mówiąc:

— Zgryzota i smutek, to zła choroba: pilno człeka złupi. Człekowi ze smutke wnuku <sup>1)</sup> to tak żyć, jak niedźwiedziowi z kulkom w brzuku. Ale bajka o zaspiannem wojsku, to wicie, nie dla zamorskich panów.

Baronet przygryzł wargi i zapytał:

— Co on mówi?

Powtórzono mu słowa Sabały, a sir Edward powiedział:

— Porównanie smutku do kuli ukrytej we wnętrznościach, jest trafne. Twarz tatrzańskiego barda przypomina mi twarz Milтона, tylko że ta ma ostrzejsze i głębsze linie, jakby ślady przeżytych tragedii i zastygłych nagle wybuchów.

— Sienkiewicz dostrzegł także to podobieństwo — zrobił uwagę malarz.

Posadzono Sabałę na kamieniu i uczęstowano: nalano raz i drugi talaję, a gdy blada twarz starca lekkim zabarwiła się rumieńcem, sir Warburton wyraził życzenie usłyszenia jakiej innej powieści, jeżeli Sabała nie chce mówić o śpiących rycerzach. Doktor spojrział na proszącego badawczo, mówiąc:

— Wasza Dostojność nie rozumie po polsku, a cóż do piero po podhalańsku!

— Będę słuchał przez tłumacza — odpowiedział — a zresztą chcę go słyszeć.

(d. c. n.)

<sup>1)</sup> Wewnątrz.

## PIOSENKA WIOSENNA.

Powiał ciepły wiatr z południa,  
 Hen — z dalekich ziem,  
 I śniegowe spędził chmury  
 Swym wiosennym tchem...

\* \* \*  
 Błękit nieba czysty, jasny,  
 Jak spokojna toń;  
 Falą płynie pieśń skowronka  
 I fijołków woń...

\* \* \*  
 W świeżą zieleni się ustroił  
 Rozbudzony gaj;  
 Martwe pola kryje runią  
 Dziecię słońca — maj.

\* \* \*

Na zielonych traw kobiercu  
 Kwiecie błyszczą w krąg,  
 Niby tęcza co opadła  
 Na szmaragdy łąk...

\* \* \*  
 Gwarne ptasząt swiegotanie  
 Codzień wita świt;  
 Ponad stawem tańczą łątki  
 Wśród trzcinowych kit...

\* \* \*  
 Opuścili swoje ule  
 Roje złotych pszczół,  
 I zbierają miód przesłodki  
 Z balsamicznych ziół...

\* \* \*

Z gór spienione mkną strumienie,  
 Do wezbranych rzek,  
 Płonąc w słońcu, niby haftu  
 Złocistego ścieg...

\* \* \*  
 Rolnik z pługiem wyszedł w pole,  
 Na ojcowski łąn;  
 Niech mu szczęści w jego pracy  
 Miłosierny Pan!...

\* \* \*  
 Idzie wiosna, idzie hoża  
 W mgłach powiewnych szat,  
 I weselną pieśnią budzi  
 Cały Boży świat...

*Dla uczennicy swej Sarenki z Ublinica.*

*Leon Rygier.*

*Do listu Janka Ż.*



Wysadzenie mostu przez Burów.

## TESTAMENT DEIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA YERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

— A tak — po całych trzech dniach i trzech nocach włóczęgi — dorzuciła kobieta.

— Myślałem, że się to już nigdy nie skończy — odezwał się znów po chwili pan Field, opuszczając ręce, jak ktoś zmęczony nadzwyczajnym wysiłkiem.

— Bo też i nie skończyło się jeszcze.

— A co to kosztować będzie!...

— Tu nie idzie o to, co będzie nas kosztowało, ale co nam da w zysku...

— Dobrze w każdym razie, że przybraliśmy inne nazwisko — zauważył jegomość.

— Mój to był pomysł — wtrąciła kobieta.

— Bardzo rozumny, ani słowa!.. Bo wyobraź sobie tylko, że inaczej byłibyśmy na łasce tych wszystkich hotelistów, oberżystów, restauratorów i dorożkarzy, jednym sło-

wem owych wszystkich zdzierców, utuczonych kosztem ofiar, które wpadają w ich ręce, a którzyby na nas tem więcej chcieli zarobić, gdyby wiedzieli, że możemy miliony dolarów zagarnąć do kieszeni.

— Prosty rozum wskazuje, że jako nieznani, na mniejszy wysiłek będziemy narażeni — zdecydowała tonem świadomej wyższości pani Field — i najlepiej pozostać tak aż do końca. Już to bufety kolejowe nie wzbogaciły się naszym groszem w ciągu tych trzech dni — i myślę że...

— Zawsze to kosztuje ruszyć się z domu, i kto wie, czy nie byłoby korzystniej nie rozpoczynać wcale...

— Lepiejbyś głupstw nie gadał — zawołała jejność rozkazująco. — Alboż nie mamy tych samych co inni warunków do wygrania! Co?...

— Bezwątpienia Kasiu, te same warunki... — przywrócił głosem uległym pan Field — ale przyznaj sama, że zawsze najrozumniejszym byłoby podpisać umowę, podzielić się spadkiem...

— Nigdy nie byłam tego zdania! Zresztą cóż było robić z tym wściekłym Urricanem, który się zgodzić na to nie chciał, albo z owym X. K. Z., którego tam nie było wcale, aby mógł dać swe przyzwolenie...

— To właśnie najgorsze! I powiem ci szczerze, że jego obawiam się też najwięcej ze wszystkich. Jakaś kryje się w tem tajemnica. Nikt go nie zna, nikt nie wie kto on taki, albo z kąd pochodzi... Ma się nazywać X. K. Z. — alboż kto słyszał kiedy w świecie o podobnym nazwisku! — Czy to nawet przyzwolicie nazywać się X. K. Z!... — dowodził pan Field, unosząc się coraz więcej.

A jednak, chociaż go tak drażniła tajemniczość osoby pana X. K. Z., sam rozgrzeszał się w zupełności z takiejże samej winy, przyjmując obce nazwisko zamiast właściwego sobie Titbury, czyniąc to jedynie, jak to sam wyznał w rozmowie z żoną, z pobudek wstrętnego sknerstwa.

Tak jest, Herman Titbury, trzeci z kolei partner gry Hyperbona, otrzymawszy przy rzuceniu kości sumę dwa jako rezultat punktów: jeden i jeden, przenieść się musiał do drugiej przedziałki, czyli do Stanu Maine.

A przyznać trzeba, że szczęście nie okazało się mu tym razem wcale przyjaznem; już sama ilość punktów, która go tak mało posuwała w grze, dozwalając znacznie wyprzedzić się zniechędzonemu przeciwnikom, była bardzo niefortunna; nadto jeszcze na jakże daleką skazany został podróż!...

Jak łatwo bowiem sprawdzić na mapie, Stan Maine leży na samym krańcu północno-wschodnim Unii amerykańskiej, nad zatoką Passanogoddy, przy ujściu rzeki Saint-Croix, granicząc już z Kanadą i Nowym Brunswikiem.

Do Zjednoczonego państwa przyłączony w 1820 r., Stan ten wysłał z dwunastu swych brabstw dwóch senatorów i pięciu deputowanych na posiedzenia kongresu narodowego.

Zaraz 5-go maja, to jest w dniu ciągnięcia, małżonkowie Titbury opuścili swe ponure mieszkanie przy Robey Str, udając się w podróż pod przybranem nazwiskiem, a ponieważ zachowali też w ścisłej tajemnicy czas swego wyjazdu z Chicago, przeto nikt, nawet amatorzy zakładów nie mogli się stawić na dworcu, by ich pożegnać, z czego byli nawet dość niezadowoleni.

Trzeci bowiem partner, jako właściciel znacznego kapitału, już tem samem wydawał się ulubieńcem fortuny; a gdy przedstawiał możność opłacenia kar, któreby na niego w czasie gry przypadły, nie było obawy, aby z takowej przedwcześnie usunąć się był zmuszony. Zresztą, i to rzecz niemałej wagi, człowiek takiego pokroju jak Herman Titbury nie da się obalamucić fantazji czy rozrywkom, nie zboczy z najprostszego drogi, mając za cel jedyny stawienie się na miejscu wyznaczonem o ile można najwcześniej.

Wszystkie te warunki, dające wszelką rękojmię wygranej, odpowiadały oczywiście amatorom tem więcej, że

nie każdy z partnerów mógł się niemi pochwalić; więc choć na niewidzianego postawiono na trzeciego partnera sumy poważne.

Tymczasem zacne małżeństwo Titburów ułożyło plan swej podróży najprostszy, najmniej kosztowny. Nie zatrzymując się nigdzie, choćby dla nocnego spoczynku w hotelu, jechali dniem i nocą, przesiadając się z jednej linii kolei na drugą; nawet pożywiali się tylko w wagonie zabranymi z domu zapasami.

Tak względnie dość szybko przejechali Stany: Illinois, Indiany, Ohio, New-York i New-Hampshire. Ominęli też na pograniczu Maine Góry Białe, których śnieżysty szczyt, wznoszący się do pięciu tysięcy siedemset czterdziestu stóp, nosi imię Waszyngtona, tego największego bohatera rzeczypospolitej amerykańskiej. Z kolei zostawili za sobą: Paryż, fabryczne Lewiston, rywalizujące z Portland, jednym z głównych portów Nowej Anglii nad zatoką Casco. Nie zatrzymali się nawet w Augusta urzędowej stolicy Stanu Maine, której piękne wille zdobią brzegi Kennebeku.

Mimo wszakże tak uciążliwej podróży, w której nazbyt często okazuje się konieczność przesiadania na inne tory, wielu turystów wybiera się w te strony jedynie dla zadowolenia estetycznych upodobań. Rzadko bowiem o kraj równie bogaty w piękne i wielce urozmaicone widoki, z których na wyróżnienie zasługuje północno-zachodnia wyżyna, gdzie ponad wysokie lasy występują ku niebu granitowe łomy góry Khatadin, wyniosłe na trzy tysiące pięćset stóp. Ciekawe też do poznania jest miasto Portland, miejsce urodzenia wielkiego amerykańskiego poety Longfellow'a, które choć liczy tylko trzydzieści trzy tysiące ludności, prowadzi przeciw ożywionemu handel z południową Ameryką i z Antylami. Piękne gmachy, pomniki i ze szczególnym gustem utrzymywane ogrody publiczne zasługują tam ze wszech miar na uznanie. Również silnym magnesem dla podróżnych bywa niewielkie miasto Brunswick ze sławnym kolegium Bowdaina, i galerią obrazów jedną z najcenniejszych w Ameryce.

A cóż dopiero mówić o wybrzeżach Atlantyku, gdzie liczne miejsca kąpielowe zwabiają letnią porą najzamożniejsze rodziny z sąsiednich Stanów, lub wreszcie o owych cudownych ustroniach, jakie przedstawiają pobrzeżne wyspy Mount-Desert i Bar Harbor.

Ale państwo Titbury *alias* Fild, którzy przybyli do Calais dziewiątego maja, mimo, że mają jeszcze dni dwa-naście do chwili otrzymania telegramu od reagenta Tornbrocka, nie myślą opuścić Calais ani na jedną godzinę, choćby ten czas bezczynnego oczekiwania uprzykrzył się im do ostateczności.

Zresztą tu czy gdziekolwiek, zawsze najmielszą dla nich przyjemnością będzie układanie planów na niedaleką już przyszłość, gdy dzięki łaskawości losu staną się po wielokroć milionerami.

Możeby inni na ich miejscu czuli się skrepowanymi takim bogactwem, możeby mieli kłopot co z tylu pieniędzmi począć, ale oni dalecy są od tego. Oni pewno będą umieli zabezpieczyć wszystko tak, że ani grosika jednego nie stracą. Nawet z dochodów nie nie ruszą i składać je będą na nowe kapitały i ani im przez myśl nie przeszło, by je mogli zużyć sami lub udzielić komubądź na świecie.

Toż wszystkie myśli, dążenia, cała ich dusza, żyła tylko pragnieniem złota. Jego blask był najpiękniejszym widokiem, jego dźwięk najmielszą muzyką dla tych lichwiarzy, tych chciwców, tych dusigroszów, których typ, znany od wieków, był i pozostanie zawsze plagą ludzkości.

Gdy więc tylko i jedynie pieniądź istniał dla Titburów, i nic innego nie mogło ich zająć, skracali sobie czas marnego czekania spacerem na wybrzeża, gdzie pewni, że nie zwróca na siebie niczyjej uwagi, patrzyli prawie be-myślnie na łodzie rybackie, które z rana dążyły za poło-

wem, a powracały wieczorem z ładunkiem makareli, śledzi lub łososi.

A jednak chociaż tak ukryci pod przybraniem nazwiskiem, drżeli ciągle ze strachu, by ich wypadkiem nie zde-maskowano, co mogłoby pociągnąć za sobą, wedle ich rozumowania, powiększenie wydatków.

Tymczasem mieszkańcy Calais zainteresowani nie mniej od innych obywateli Stanów Zjednoczonych wielką grą Hypperbona, śledzili uważnie jej przebieg i gdy gazety i telegramy powiadamiały ich, że trzeci partner wysłany został do ich grodu, powzięli zamiar przyjęcia go z pewną uroczystością. Napróżno jednak oczekiwali go z dnia na dzień; żaden Titbury nie podał się do ksiąg przyjezdnych gości, a nikt nie posądzał, by się zechciał ukrywać pod fałszywym nazwiskiem.

Tak minął dziewiąty, dziesiąty, jedenasty i dwunasty maja. Ale wszystko na świecie ma swe granice. Warunki, jakie skąpcy sami sobie stworzyli, poczęły im coraz więcej się przykrzyć, czas dłużył się im niezmiernie.

Monotonność spacerów nad rzeką dokuczyła mianowicie panu Hermanowi.

— Do licha, bodaj nie wytrzymam tu dłużej. Już ten Hypperbone miał myśl dość głupią, żeby wybrać najnieznośniejszą miejscinę w Maine dla partnera, który i tak nie był szczęśliwy, otrzymując na samym początku gry tylko dwa marne punkta...

— Ciszej, ciszej Hermanie, gdyby cię kto usłyszał, pięknie byśmy wyglądali! — zgromiła małżonka pani Katarzyna. — Zresztą, skoro nam już los przeznaczył Calais, to czy chętnie czy niechętnie w Calais zostać musimy...

— Alboż to nie wolno nam wyjechać z miasta?

— Ciekawam po co? Chyba dla powiększenia kosztów, które jak wiesz...

(d. c. n.)

## Piąty list Janka Ż do Redakcji Wieczorów.

31 Marca.

Emaus nad granicą Oranii i kraju Gryka, w klasztorze Ojców Misyjonarzy.

Kochani koledzy! Ostatni list pisałem do was 2-go lutego w sam dzień imienin mojej mamy. Czy odebrałście go? W czasie wojny nikt życia, a tem więcej pocztę pewnym być nie może, wiem to sam najlepiej, bo od owego listu doznałem tyle przygód, że w głowie mi się kręci na myśl o tem, co przeżyłem. A dziś domyślacie się z kąd piszę? Z więzienia! Tak, kochani koledzy, siedzę zamknięty w celi, która wprzód służyła za mieszkanie ojca Dominika misyjonarza, bo Anglicy umieścili mnie i kilkunastu młodych Burów pod strażą, w domu należącym do Alzackich księży, którzy mają tu swoją misję i nawracają Kafirów, zamieszkujących kraj Gryka. Zapewne nie jeden z was, koledzy, siedział w kozie za psoty w czasie lekcji, wiedzieliście jednak, że areszt wasz skończy się prędko i po godzinie wróćcie do rodziców, a ja czy zobaczę kiedy mojego drogiego ojca?

Gdyby mi nie było wstyd kolegów, zamkniętych razem, płakałbym nieraz, ale nie chcę, żeby Burowie sądzili źle o naszem mężstwie, chociaż nie chwając się, dałem już jego dowody, więc też zamiast narzekać na los, pracuję razem z nimi nad oswobodzeniem się z więzienia. Wprzód jednak zanim wam opiszę nasze zamiary, muszę skreślić w krótkości przebieg moich losów.

Pisałem do was z nad rzeki Tugeli, gdzie przypatrując się walkom, staczanym przez generała Bullera, wahałem nieraz proch zbliżka, zawsze jednak i ja i ojciec wy-

chodziliśmy cało, bo osłaniały nas prawa międzynarodowe, nie pozwalające strzelać do ambulansów, w których, jak wiecie, obaj z tatą pełniliśmy służbę przy rannych. Ale 10 lutego Burowie zajęli Bloys-farm i otoczyli baraki szpitalne niespodzianie, pragnąc zaś co prędzej uciekać z powrotem za rzekę, zabrali do niewoli młodych i zdrowych, zostawiając na miejscu rannych wraz z dozorcami. Został więc i mój drogi ojciec, podczas gdy wsadzony na luznego konia pędziłem wśród gromady Burów, choć byłbym wołał śmierć nad to rozłączenie.

Pędziłem dzień cały, nie zatrzymując się prawie. Dano mi kawałek suszonego mięsa, ogryzałem więc kości i nie zwalniałem biegu. Konie Burów są daleko wytrwalsze od angielskich, ale zabrano ich tak wiele z obozu Bullera że zmieniłem wierzchowca, gdy pierwszy ustał po paru godzinach. Siodłałem właśnie pięknego siwka, kiedy pa-trzę, a tu obok mnie siodła swego konia młody chłopiec i przypatruje mi się ciekawie.

— Robert! — zawołałem uniesiony.

— John! — odpowiedział, wyciągając do mnie rękę, nie tylko rękę, bo rzuciliśmy się sobie na szyję. Robert, to syn starego Burnsa, u którego z ojcem mieszkaliśmy w Johannesburgu. Byłem uszczęśliwiony z tego spotkania, a Robert nadziwił się nie mógł, że tak zineźniałem w czasie ostatnich kilku miesięcy. Jechałszy koń przy koniu, rozmawiając o zaszłych w Transwaalu wypadkach. Robert także nie wiedział nic o swoim ojcu, bo bił się on pod rozkazami generała Croniego. Nie śmiałem spytać go o brata, Samuela Burnsa, z którym grywałem w tenisa w Johannesburgu. Bardzo lubiłem Samuela, więcej nieledwie niż Roberta, ale coś mi mówiło, że on zginął. I nie myliłem się, biedny Robert powiedział mi sam o tem. „Trzech Burnsów dało już swe życie za Transwaal” opowiadał z dumą, a ja czułem w głosie, że gotów w każdej chwili poświęcić i swoje. Odtąd polubiliśmy się jeszcze serdeczniej, a mogę wam zaręczyć, kochani koledzy, że nic tak nie zbliża jak wspólny pobyt w obozie.

Byliśmy jak bracia z Robertem, on myślał o swoim ojcu, ja o swoim; nie różniło nas nawet ubranie, bo i ja nosiłem teraz okragły kapelus, bluzę i długie buty, tak, jak się ubierają Burowie, a na prośby Roberta dano mi broń i pas z nabojami. Tugelę przebyliśmy szczęśliwie po moście, który z rozkazu dowódcy zburzono następnie, żeby utrudnić Anglikom ściganie naszych oddziałów. Przypatrywałem się razem z Robertem i dwoma jeszcze młodymi Burami wybuchowi miny, a jeden z oficerów Francuz, od-fotografował nas w tej chwili i darował mi fotografię, bo polubił mnie za to, że mogłem z mną po francusku rozmawiać. Posyłam wam jedną odbitkę, jeśli list ten dojdzie waszych rąk, zobaczycie dawnego Strusia, jak wyciągnięty na wzgórzu „na gapia” przypatruje się temu dziełu zniszczenia, a było na co patrzeć. Ziemia zatrzęsa się od wybuchu, konie naszego oddziału omal nie oszalały ze strachu.

Pokrótko opowiem wam dzieje mego dalszego żywota, chociaż każdy dzień przynosił nowe niebezpieczeństwa i nowe wypadki, ale list i tak będzie długi. Odtąd występowałem już nie jako więzień, lecz jako ochotnik, odbywający kampanię w szeregach Burów, tak przedstawił mnie Robert swemu stryjowi feldkornetowi. Zostawiono mi konia, a konno jeździć doskonale, zawdzięczam to tatce, który uczył mnie sam dosiadać wierzchowca.

Zostaliśmy odkomenderowani do oddziału maszerującego na pomoc generałowi Croniemu. Wielki ten wódz bronił się jak bohater, ale naciskany ze wszystkich stron przez angielskiego marszałka Roberta, potrzebował posiłków, więc po półtora tygodniowym odpoczynku oddział nasz wkroczył do Oranii przez te same Smocze góry, przez które w styczniu przekradałem się z Kafrem do ojca.

Tymczasem nadchodziły coraz gorsze wiadomości. Buller maszeruje na Ladysmith, Bloemfontain zagrożone, Cronie rozpuszcza swe oddziały i podjazdową prowadzi wojnę, jak ongiś gerylasi w Hiszpanii. Postępowaliśmy

z największą ostrożnością. Widziałem sam nieraz balony angielskie, unoszące się w powietrzu, z których niezawodnie śledzono ruchy Burów

Tak jak wprzód nad rzeką Tugelą, tak teraz nad spławną Modder wrzał bój, gdyż tam właśnie, niedaleko Paardeborge bronił się Cronie, umieściwszy całą swoją armię w kotlinie nad rzeką, której brzeg wysoki chronił oblężonych przed ogniem olbrzymich dział angielskich. Dostaliśmy się jednak szczęśliwie znanymi przesmykami do rzeki Modder. Chyłkiem i milczkiem postępując pod urwistymi i stromymi jej brzegami, często płynąc wpław, gdy brakło nam bezpiecznego gruntu pod nogami. Raz siedzieliśmy kilka godzin zaczajeni w krzakach, czekając, aż przejdzie patrol angielski, który mógł zaalarmować obóz. Wstrzymałem oddech, leżąc obok Roberta, bo żołnierze angielscy szli tuż koło nas, Bur zgrzytnął zębami i schwycił za broń, ale go w porę powstrzymał.

— Rozstrzelać każe Roberts — Roberta Bura.

— I na tem się skończy cała awantura — szepnąłem przyjacielowi po angielsku ostrzeżenie, które przełożone na polskie złożyło się w rym wcale niezły, nie prawdaż, koledzy?

Kiedy nareszcie po niesłychanych trudach dostaliśmy się do Croniego, były to ostatnie dni zaciętej jego obrony.

Zdawało mi się, że znam już wojnę, ale teraz dopiero miałem przeżyć prawdziwy sądny dzień. Polecilem Bogu ducha i przykucałem obok Roberta za wałem, czekając na atak angielskiej piechoty. Nie jestem wcale bohaterem, ale wiercie mi, koledzy, nie czułem strachu. Byliśmy w gromadzie z towarzyszami, broniłem życia, a myślałem przytem, że jeśli zginę, zobaczę moją matkę, ja sierota, oddalony od kraju, wydarty ojcn. Myśl, że u Boga spotkam kochanych moich, że bądź co bądź bronie dobrej sprawy, myśl ta dawała mi spokój, choć staliśmy w dymie 110 armat angielskich, których pociski dziesiątkowały nas okrutnie, a szarpnele eksplodowały raz po raz. Nie wiem, co powie historia o tej wojnie, trzeba jednak przyznać, że Burowie umieją się bronić. Nie mogę opisać szczegółowo bitwy, która skończyła się wraz z nocą, zresztą wiecie już pewnie w Europie o kapitulacji Croniego. 27 lutego o godzinie 7 rano musiał się poddać z resztą swego wojska. Widziałem go i nigdy nie zapomnę bohatera, bo nawet Anglicy oddają mu sprawiedliwość, jemu i garstce Grańczyków, która przez dziesięć dni broniła się przeciw olbrzymiej liczbie nieprzyjaciół.

Co robią z dowódcami nie wiem; podobno mają wywieźć ich na wyspę S-tej Heleny, tam gdzie umarł Napoleon cesarz francuski, prawdziwy bożek wojny, jak go słusznie nazywał Mickiewicz. Nas pospolitą ruchawkę zapędzono pod strażą do angielskiego obozu i pozwolono odpocząć dwa dni. Skorzystałem z tego czasu, żeby robić poszukiwania ojca, byłem nawet w głównej kwaterze angielskiej, bo dzięki znajomości kilku europejskich języków, mogłem przedstawić sprawę oficerom. Nikt jednak nie umiał mi wskazać na pewno, gdzie znajduje się ambulans, przy

którym służył ojciec, podobno jest on w Ladysmicie, bo miasto to zostało nareszcie oswobodzone przez Anglików.

(d. n.)

## Biały niedźwiedź w niewoli.

Najstraszniejszy i najodważniejszy zwierz stref podbiegunowych, nawykły do ogromnych śnieżnych przestrzeni, do mrozu i wichru, nie czuje się pewnie szczęśliwy w niewielkiej fossie, gdzie mu wyznaczono mieszkanie w londyńskim ogrodzie zoologicznym. To też z wściekłością rzuca się na bryły lodu, jedyne przypomnienie rodzinnych krain, których mu stale dostarczają, aby utrzymać niską temperaturę, konieczną dla jego egzystencji. Gromadka osób przygląda się z ciekawością i pewnym szacunkiem temu wspaniałemu pomimo swej dzikości stworzeniu, który przewyższa wszystkie inne gatunki niedźwiedzi wielkością i siłą.

## SZARADA.

*Pierwsze* wspaniałe jest spółgłoską, *drugie* zaś przeciwnie Samogłoską w część mowy mieniącą się dziwnie, Napotykaną w zdaniach, gdzie z odmiennym szykiem, Raz jest krótkim przyimkiem, drugi wykrzyknikiem. *Trzecie* spółnik — wspaniałe *czwarte* wielki powab miewa, Bo i wiosna i jesień wdziękiem je odziewa. *Wszystko* wraz to greckiego imię bohatera, Którego wielkiej sławy sam czas nie zaciera. Bo nie mogąc przez zdradę sił w boju rozwinąć, Wraz z wojskiem się zamknąwszy wolał mężnie zginąć.

## Kronika Rodzinna.

ŻASOPISMO ILUSTROWANE DWUTYCODNIOWE

dla rodzin katolickich

wydawane przez księdza

**Hipolita Skimborowicza.**

Omawia głównie sprawy; etyczne, religijno-kościelne, społeczne i wychowawcze. Zamieszcza nadto: powieści, poezye, nowele, opowiadania, pamiętniki, życiorysy ludzi zasłużonych, wiadomości ze świata wiedzy i wynalazków, sprawozdania z pismienictwa krajowego i zagranicznego, opisy podróży i miejscowości. Oprócz felietonu stała rubryka Kroniki p. t. „Przegląd powszechny” podaje krótkie, ogólne wiadomości o ważniejszych sprawach bieżących.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rb. 1, rocznie rb. 4. Z przesyłką pocztową kwartalnie rb. 1 kop. 25, rocznie rb. 5.

Na żądanie numer okazowy wysyła się bezpłatnie.

Adres: Warszawa. Krakowskie-Przedmieście Nr. 6.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

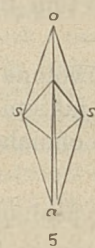
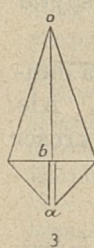
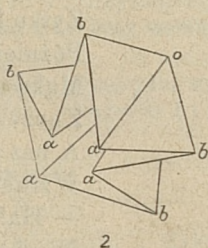
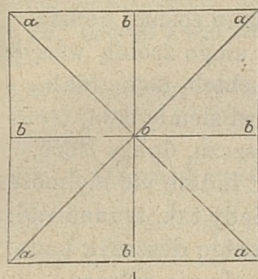
ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Biały niedźwiedź w niewoli (z ryc.) — Historia środków komunikacji, przez Władysława Umińskiego (z ryc.) — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Piosenka wiosenna, wiersz Leona Rygiera. — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Piąty list Janka Ż. do Redakcyi Wieczorów (z ryc.) — Łamigłówni. — Dodatek: Zabawki z papieru (z ryc.) — Pogadanki naukowe Ciała stałe przez Zofię Kwiatkowską. — Deszczyk, wiersz. — Ważna nowina. — Sprawozdanie z konkursu kaligrafii. — Towarzyszka Feluni, przez Izę Moszczeńską. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Pojednani, powieść z czasów Napoleona I-go przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 15 Апрель 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

## ZABAWKI Z PAPIERU.



Już żabki, korzystając z wiosny, zaczynają się ukazywać nad brzegami stawów i sadzawek; spróbujmy zrobić żabkę papierową, która będzie skakała, naśladując żywą. Przy pewnej zręczności łatwo ją zrobić, można z papieru, według załączonych wzorów.

Weźmy kwadratowy arkusz papieru, najlepiej cienkiego i nie glansowanego albo bibułki. Dla ułatwienia roboty potrzeba koniecznie oznaczyć właściwe miejsca literami, jak to widzimy na fig. 1-ej, potem ująwszy jedną ręką papier za środkowy punkt *o*, spróbujmy załamać papier według linii, jak na fig. 2-ej i przyłożyć linie proste *bo* do przekątnych *ao*, co wymaga pewnej zręczności a następnie złożyć papier jak na fig. 3-ej.

Jeszcze większej zręczności wymaga fig. 4, zasadzająca się na odwróceniu punktu *b* w kierunku *o* i załamaniu w sposób, wskazany przez fig. 5, powstających wtedy linii *sa*. Powtórzywszy tę czynność razy cztery załamać należy do środka punktu *s* (patrz f. 6), poczem wykończenie żaby, jak wskazuje f. 7, będzie rzeczą niezbyt trudną.

W miejscu, gdzie się rozchodzą cztery linie *a* pozostawić należy mały otvorek, przez który wsunąć można trochę waty i drucik, a końce druciku nakierować trzeba



tak, aby dotykały załomu łopatek tylnych. Dmuchając na tak urządzoną żabkę, przekonamy się, że doskonale podskakuje.

Mamy nadzieję, że trzymając się wzorów i opisu, potraficie wykonać tę zabawkę.

## Pogadanki naukowe.

### I.

#### Ciała stałe.

U drzwi w przedpokoju zadzwieczał dzwonek.

Janek i Julcia pędem pobiegli do drzwi.

— Wujaszek Kazio! wujaszek Kazio! — wołali radośnie.

— Ach, jaki ten wujcio dobry, że przyszedł — rzekła Julcia. — Mamusi i tatusia niema w domu, a nam tak się nudziło samym. Ach! kiedyż będzie lato?...

— Jak się macie, dzieciaki — mówił wesoło wuj Kazio, zdejmując palto i całując po kolei dzieci.

— Wujek nam powie coś ciekawego, prawda? jak to zwykle?... — pytał Julek.

— Ale co? O czym ja mam dziś powiedzieć, do prawdy sam nie wiem — rzekł wujek, siadając na kanapce. — Janek i Julcia usiedli po obu jego stronach.

— Ja chciałbym — rzekł Janek — zapytać wujka o jedną rzecz...

— O cóż to?

— Wczoraj byłem u Michasia, właśnie jak wróciłem ze szkoły. Ciocia spytała go, o czym pani mówiła w szkole, a on powiedział, że o ciałach stałych. Ja bardzo byłem ciekawy, co to są ciała stałe. Ale wstydziłem się go zapytać... On jest młodszy przecież ode mnie i wie to, a ja nie... Mój wujaszku, co to znaczy?

— Czy i Julcia chciałaby o tem usłyszeć? — spytał wujek.

Julcia nie była bardzo zadowolona z zapytania Janka. Ona wolałaby usłyszeć o jakim zwierzęciu. Ale była to dobra dziewczynka i nie chciała robić przykrości bratu. Odrzekła więc:

— Dobrze wujku. I ja też posłucham.

— Zdaje mi się — zaczął wujek Kazio — że mówiłem już kiedyś Jankowi, że wszystkie rzeczy na świecie składają się z drobnutkich cząsteczek, które przylegają do siebie mniej lub więcej silnie. Otóż cząsteczki niektórych rzeczy przylegają do siebie bardzo silnie np. cząsteczki kawałka żelaza. Nie mógłbyś złamać w ręku sztabki żelaza. Cząsteczki drzewa przystają do siebie mniej silnie; spróbuj złamać tę zepsutą obsadkę, która tu leży.

Widzisz, nie łatwo to zrobić. Otóż rzeczą stałą nazywamy taką rzecz, która nie pozwala tak łatwo oddzielić swych cząsteczek, nie pozwala zmienić bez oporu swego kształtu. Proszę, abyście zapamiętali, że rzecz stała zachowuje swój kształt.

— Wujek mówi ciągle rzecz, a ja słyszałem, jak Michaś mówił ciała...

— Bo tak zwykle mówimy przy nauce. Nazwałem to rzeczą, abyście lepiej zrozumieli. Odtąd będę zawsze mówił ciała, a wy będziecie już wiedzieli o co chodzi?

— Będziemy, wujku.

— No, a teraz może Julcia wymieni mi kilka ciał stałych.

— Wiem, żelazo, drzewo, cegła, szkło.

— Bardzo dobrze. Ale czy myślicie, że na świecie są tylko ciała stałe?

— Chyba nie... — szepnęła Janek.

— Nie, są jeszcze ciała płynne i lotne, ale o nich pomówimy innym razem. A teraz, dzieciaki, zabierajcie się na spacer.

— Co? zabierze nas wujek za miasto?

— Pójdziemy! Ubierajcie się!

— Brawo! Pochulamy na zielonej trawce! Jaki wujek dobry! Hurra!

I po chwili w kapeluszach, i okrywkach już gotowi byli do wyjścia.

*Zofia Kwiatkowska.*

## Deszczyk.

— Jak tam Kasiu dziś na dworze?

— Deszczyk pada. —

— O, mój Boże!

I znów w domu siedzieć trzeba!

— Ale za to więcej chleba

Będzie dla nas panienczko!

— A dla czegoż to Kasieczko?

— Deszczyk bardzo pożądanym,

Zwilży ziemię, zrosi łąny,

Żytko ładnie rosnąć będzie,

Później z niego zrobią wszędzie

Makę na chleb, makę białą,

Zboże żywi ziemię całą;

A bez deszczu, dobry Boże,

Wzrastać ładnie nic nie może.

— Ha! kiedy tak, trudna rada,

Niechaj sobie deszczyk pada,

Ja już wcale nie żałuję;

Mam serduszko, to i czuję,

Że na świecie żleby było,

Gdyby chleba nie starczyło.

— Słuszne słowa panienczko,

Deszczyk przejdzie, a słońcecko

Znów zaświeci, bo Pan z nieba

Wie najlepiej, czego trzeba.

*H. B.*

## Ważna nowina!

— Ważna nowina dla ciebie, Maryniu! — woła 12 letni Miecio, wpadając do pokoju.

— Tylko dla mnie, a dla ciebie nie? — mówi Marynia, która zwiedziona kilka razy na prima-aprilis przez starszego brata, z pewną nieufnością przyjmuje jego szumną zapowiedź!

— Tym razem tylko dla ciebie, bo ja już skończyłem lat 11, więc wiesz, że w konkursie „Wieczorów” na kaligrafię nie brałem udziału. Ten konkurs to dla was, dzieci — dodał z powagą — ja stanę do konkursu na wypracowanie!

Marynia zerwała się z krzesła.

— Konkurs na kaligrafię rozstrzygnięty! Pokaż numer! Jestem tak ciekawawa, czy dostałam nagrodę, czy pochwałę, czy może nic, nawet wzmianki żadnej.

Miecio zrobił smutną minę.

— Jest tam wiele nagród i pochwał, ale twojego imienia nie mogłem znaleźć. Prawdę mówiąc, spodziewałem się tego, przecież wszyscy wiedzą, że bawgrzesz, jak kura!

— Bawgrzę, bawgrzę... nie przymawiaj, proszę, bo choć o rok jesteś starszy, nie pomieniałabym się z tobą na pismo. Ale pokaż numer, ja sama przeczytam.

Miecieo, nie chcąc dłużej przekomarzać się z siostrzyczką, oddał jej numer „Wieczorów,” mówiąc:

— Ciesz się! dostałaś drugą nagrodę!

Ale systematyczna dziewczynka zaczęła po porządku czytać, co następuje:

## Sprawozdanie z konkursu kaligrafii.

### Prób pisma 398 — nagród 110.

Tak wielu znalazło się chętnych i pracowitych wśród młodszej rzeszy naszych czytelników i czytelniczek, tak staranne i porządne są próby ich pisma, że z prawdziwym zadowoleniem liczbę zapowiadanych nagród powiększamy do 110-u i przyznajemy: nagród 1-ego stopnia 26, nagród 2-ego stopnia 84, oraz wzmianek zaszczytnych 240.

Sądziłyśmy, jak zwykle, próby według wieku piszących, wymagając więcej od starszych niżeli od młodszych. Nagrody I i II stopnia stanowią książeczki.

#### Nagrody I stopnia otrzymują:

Rok 6-y: Jaś Mańkowski i Różyczka z Bielicz.

„ 7-y: Tadzio Wasilewski, Józio Dobranicki i Krzyż z Warszawy.

Rok 8-y: Władzio Piętka, Staś Łada-Łobażewski, Mynia Hurczynówna, Inżynier, Marysia Morstinówna i Stefcia B. z Warszawy.

Rok 9-y: Józio Wieczorek, Konwalia z Warszawy i Zygmus Mojkowski.

Rok 10-y: Loluś Sybirak, Jania Hurczynówna, Janiusia Pilawitówna, Stefcia Iwicka i Michaś Symon.

Rok 11-y: Lusia Komierowska, Henusia Marconiówna, Helenka Kryńska, Wińcia Hurczynówna, Zofia Jodys, Janina Fulmerówna i Zosia Wróblewska.

#### Nagrody II stopnia:

Rok 6-y: Skowronek Poleski, Bołdanek Romanowski, Kazio Rudnicki, \*Wacio Straszynski, Cygan, Czesł Romanowski i Stasia Brochocka.

Rok 7-y: Zochna Ossowska, Janek Zubowicz, Kryszałek, Kozak z nad Uszycy, Marylka Ottowiczówna, \*Pani Wróblowa, Józef Boyé i Sarenka Poleska.

Rok 8-y: Lucia D. z Warszawy, \*Ulan L., Zygmus Różycki, \*Jadwisia Zarembianka, \*Wacio Porczyński, Antosł Zarkzewski, Antosł Krabelski, Stefan Hilczyński, Maryńcia Mańkowska, Staś Ptasiński, Henryś Chelmicki, Trajotka, Wilczek, Rusalka, \*Słowik z Sopina, Mania Beilin.

Rok 9-y: Władzia Pióro, Wesola Zosia, Biała Perelka, Konwalijska z nad Narwi, Janinka Machczyńska, \*Antosł Maczyński, \*Orzeł ze stepów P., Irenka Szydłowska, \*Marylka Mikulska, Irenka Grubowska, Halinka Wojciechowska, Miechowita, Fala, Janinka Wasilewska, Niedźwiadek poleski, Władzio Gutowski, Dora Kostecka, Staś Długosz, \*Jadwisia Chwalibozanka i Adelfia Kirchnerówna.

Rok 10-y: Sęp Skrzydlaty, Walery Mańkowski, Julcia Wolłodka, Bazgracz z nad Dźwiny, Orzeł Białowieski, \*Janinka Pogorzelska, Skoczek z Zofijówki, \*Longin Podbięta, Leonora Muszkatówna, Staś Wasiutyński, Julia Gulińska, Młody Junak, Marychna Ossowska, Jasina Kłosowska, Krakowianka, Tolo Udykowski i Psotka.

Rok 11-y: Urszulka Kochanowska, Irena Stojnowska, S. Zbrowski, Czernica, Witold, Legotke, Anielka Dziewulska, Wańdzia Brzozowska, Stefcia Cukier, Wituś Pikulski, Poziomka, Sulima, Stefcia Pióro, Oleś Rudnicki, Konwalijska z Piotrkowa i Kazio Korkozowiec.

Na wzmiankę zaszczytną czyli pochwałę zasługują:

Rok 7-y: Płacząca Brzózka, Janusz Beaurain, Jaś Wolk i Łoskot.

Rok 8-y: Tulipan, Salomea Mayznerówna, Hanka Wituska, Tygrys, Antosł Boglewski, Różycka z Pod., Jerzy Kul., Halka Podoska, Zosia Stacherska, Helenka Brykczynska, Staś Openheim,

Zosia Więckowska, Wańdzia Sudelik, Kozaczek, Maryan Mirkulewicz, Konrad Kasprzykowski, Wisienka, Skowronek z Dobrowie, Mysza z nad Bohu, Brzydulka, J. Rozwadowska, Kryśia Mikulska, Sabusia Sywert, Edzio Grodziński, Boguchwał Kisiński, Walerya Brochocka, Kiks i Szperka.

Rok 9-y: Polcia Dmochowska, Zosia Korbusińska, Józio Zacht, Goplana, Marychna Cybulska, Olo Lipiński, Baba Jaga, Iruchna, Ulan, Zosia z Niedziałki, Opoczniak z nad Czarnej, Iskierka, Błękitna Wstążeczka, Pierwiosnek, Mela Wołoszynowska, Józia Paszkowska, Perelka, Ludwiś Mańkowski, Mania L., Leśna Pszczółka, Wańdzia Zalewska, Zosienka z nad Ługanki, Krakowianka z nad Przemszy, Alicja Sztark, Irenka Radzikowska, Zosia Puławska, Pawluś Babski, Władzio Czubiński, Czesł Postępski, Oleńka Kantz, Lilijka, Krzywonożka, Staś Makowiecki, Iza Wasiutyńska, Kazio Zaremba, Żabka z Berlina, Witold Waśniewski, Czesio z Woł., Romoio A., Niezabudka z nad Strużki, Adolf Muszkat, Jastrząb, Wilhelm Mieszkowski, Różycka z nad Siernicy, Skowronek z nad Warty, Urwis, Biała Koteczka, Niezapominajka, Sylfida Leśna, Helcia Nissnerówna, Biała Perelka z Rawy, Cipa z Młochowa, Wańdzia Kirchnerówna, Dziunio Buckiewicz, Luncia Chudzyńska, Niunia, Struś z Sopina, Kasia Godlewska, Irenka Straszynska, Gałazka Konwalii, Junak, Janinka Kasprzykowska i Jadwina Brochocka.

Rok 10-y: Józef Pikulski, Jerzy Kwieciński, Zosia Wieczorkiewiczówna, Kukulka z Uk., Mrówka, Zbigniew Wojtasiewicz, Eugenia Oppenheim, Rumak Stepowy, Teodozia Kiszyńska, M. Tenenbaum, Wańdzia Opechowska, Regina Beilin, Saweryn Wyskocz, Witold Beaurain, Zosia Tyleżyńska, Jeż, Wodna Trawka, Luda Ostaciewiczówna, Lusia Skawińska, Sroka, Witold Kostecki, Bronia S., Witold Bujwid, Złota Rybka z Rawy, Pliszka z nad Rużca, Stokrotka ze Stawiszcz, Kalina z nad Siniuchy, Lew Czarnogrzywy, Marychna Z., Don-Kiszot, Jędrus z Kościółka, Hala Dieffenbach, Fijolek, Janina Smolińska, Perelka, Jakób Sadowski, Szarotka, Maryla Chwalibóg, M. Kleber, Janina Zawadzka, Różycka, Czarny Sokół, Wacław Porczyński, Hela Dudrewicz, Mała Pianistka z nad Buga, Helenka Wolk, Mania Rudnicka, Stasia Kant, Jonsia Sulkowska, Janina Klimaszewska, Helena Siedlanowska, Wanda Kawecka, O. Gucka, Zosia Olszewska, Rozalia Baas, Zosia Jengman, Zosia Bukaty, Ludwika Świątkowska, Zosia Czekierska i Zosia Donimirska.

Rok 11-y: General Cronie, Alinka Chwalibozanka, Irenka Krug., Królewianka z Woł., Róża bez kółców, Cyganka, Zosia Szornelówna, Jadzia Szembelówna, Marynia Kostecka, Ulan, Wiselka, Janek Orlik, Zosia Mayzłówna, Mania Kuczborska, Andzia Edelwejdówna, Stefcia Jabłońska, Zosia Mizerska, Mania Niwiniska, Madzia Beatus, H. Engel, Justysia Klotzówna, Zosia Głowinkowska, H. Skrzycka, Paulina Wolkowiczówna, Gucia Rachwalska, Helenka Tomassi, Krogulec, Bronek Chabiński, Włodek Zaklikowianin, Anielka Szczytówna, Boża Krówka, Miecieo Pęczyński, Bielasek, Helenka Mikulska, Pszczółka z pod Wawelu, Wieszcza, Szczygielek z Sopina, Biała Różycka, Witold Rodys, Tomasz E., Romcia z Pod, Gustaw Beilin, Kurka Czubata, Wicherek, Anna Malińska, Poeta, Polna Różycka, Trzpiotka, Zosia Strumppman, Podróżniczka, Lewkonja, Ilina Podoska, Parząca, Zosia Tańkowska, Tadzio Lasocki, Mania Karo, Stasia Tańkowska, Zochna Szafranska, Rusalka Czarnowłosa, Zosia z Mszczonowa, Hanka Matczyńska, Mrówka Pod., Hela Grodzińska, Marynia Sywertowna, Wilejka, Wańdzia, Wilczek, Staś Müller, Zosia Kosnińska, Leśna Konwalia, Fiolek, Wróblek z nad Newy, Pola Paprocka, Zygmunt Mieszkowski, Edzio Wyskocz, Marynia Bulhakówna, Lulka, Kokoszka, Krupka, Halka Dynowska, Julcia Glier i Wania Peretjatkowiczówna.

Oprócz wyżej wymienionych poza konkursem, jako mające rok 12-y, przysłały bardzo ładne próby pisma: Kryśia Mierzejewska, Melania Cukier i Wańdzia Kojedecka. Nie wskazały swego wieku: Antosia Muszyńska, Anna Grünberg, Anna Grendkiewiczówna, Niezapominajka i Jadwisia Marszewska, nadto otrzymaliśmy kilka wcale niezłych prób zupełnie bez nazwiska i pseudonymu.

Osobom, mieszkającym poza Warszawą roześlemy książki, stanowiące nagrody, w ciągu przyszłego tygodnia. Nagrodzonych z Warszawy uprzejmie prosimy

o zgłoszenie się po nie do Redakcyi „Wieczorów” Mazowiecka Nr. 10.

P. S. Gwiazdka (\*) przy nazwisku oznacza brak dokładnego adresu, o przysłanie którego prosimy dla wysłania nagród.

## Towarzyszka Feluni

PRZEZ

JZĘ MOSZCZEŃSKĄ.

(Dalszy ciąg).

Przed samemi świętami przysły dla nich lepsze czasy, Józef dużo paczek nosił i więcej zarobił, a wtedy Marynia chwaliła się, że miała dobre obiady, że kluski z kartofli, albo też żur i śledzie jadła i innych tym podobnych kosztowała przysmaków. Swoją drogą ubranie jej było jeszcze zawsze bardzo niedostateczne i Felcia z ła-twością namówiła swoją mamę, aby jej towarzysze na gwiazdkę nową sukienkę i ciepły darowała kaftanik.

Nie poprzestając na tem, babcia i ciotki postarały się o to, by nie tylko Marynia lecz i inne dzieci Józefowej równie pożytecznymi podarkami obdarzone zostały: była to jedna z najmilszych chwil dla Feluni, gdy przy zapalonej choince zebrała się cała gromadka malutkich obdar-tusów, a ona każdemu z nich jakinś darem uciechę sprawić mogła. Przy tej sposobności poznała prawie całą rodzinę swej przyjaciółki prócz najmłodszego braciszka, który w kołysce leżał, ale mimo to zapomniany nie został, bo i dla niego matka parę koszulek zabrała.

Dzieci ucieszyły się ogromnie, ale niestety nie stało się zadość życzeniu Feluni, by z nią cały wieczór na wspólnej przepędziły zabawie.

— Wilia to taki jedyny dzień w roku — mówiła Józefowa — kiedy każdy może trochę wypocząć i z dzieć-kami się zabawić. Jakby to było, żebyśmy właśnie ten wieczór sami z mężem spędzić mieli!

Nawet Marynia spiesźnie zeszła na dół, by z rodziną zasiąść do wigilijnej wieczerzy, bardzo skromnej za-pe-wne, ale tem przyjemniejszej, że zgromadziła kółko ludzi, którym ciężka praca na chleb powszedni nie daje czasu na rozkoszowanie się chwilami cichego szczęścia przy ciepłym domowym ognisku.

Istotnie przez rok cały, nie wyłączając niedzieli, dzień w dzień ojciec Maryni biegał z listami po mieście, lub stał na rogu ulicy, czekając na zarobek.

Najstarszy brat był w terminie u mularza, drugi chodził po ulicy i gazety sprzedawał, starsza siostrzyczka matce cerować pomagała, a tylko dwoje najmłodszych dzieci zupełnie jeszcze od pracy zwolnionych było.

Cała też biedna i pracowita gromadka zebrała się teraz przy stole, na którym płonęła, kilku tylko woskowe-mi ozdobiona świeczkami, malutka choinka. Po wiecze-ry o tyle sutszej tym razem, że dzięki rodzinie mająt-

nych dobroczyńców, zakończyła się smacznym deserem z jabłek, orzechów i pierników, Józef zaintonował kolen-dę i wszyscy chórem ją śpiewali — nie wyłączając malca, który słysząc taki hałas z głębi kołyski wszystkich sił do-bywał, by swoje wesołe rodzeństwo przekrzyczeć.

Głośny śpiew, przerywany czasem wybuchami szcze-rego śmiechu, dolatywał uszu Feluni, która dziwnie smutnie ten wieczór spędzała, na samotnej z lalkami swe-mi zabawie, w otoczeniu osób dorosłych, tem poważniej nastrojonych, że uroczyste święto odświeżało w pamięci wszystkich obecnych wspomnienie tak niedawnej, a tak bolesnej straty.

Nazajutrz Felunia była już bardzo stęskniona za swą towarzyszką, a nie śmiała jej wzywać do siebie, bo oba-wiała się odmowy.

— Pewno Marynia woli bawić się u rodziców z bra-ćmi i siostrami, niż tutaj ze mną — myślała — a pani Soli-mowska utwierdziła ją w tem przekonaniu. Wtedy Felci przyszło na myśl, że może ona z kolei odwiedziłaby swego codziennego gościa, a tak usilnie, tak gorąco pro-siła o to rodziców, że po długich naradach pozwolili jej tam iść w towarzystwie starej niani, która już od dwu-dziestu lat u babci służyła.

(d. c. n.)

### METAGRAM.

Przez *p* jest to odwieczne rolników narzędzie,  
Przez *d* mając, rzetelność mieć trzeba na względzie.

### ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

od Piotra S. dla siostrzyczki.

1. Spółgłoska.
2. Zbiór drzew.
3. Rzemieślnik.
4. Najmilsze drzewko.
5. . . . .
6. Dawna nazwa chłopca.
7. Gatunek zboża letniego.
8. Owad.
9. Spółgłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery złożyć mają nazwę wsi n. Wisłą, pamiętną napadem Tatarów w r. 1241.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru. 16-go.

Metagramu: Maj, gaj, raj.

Arytmogryfu:

- 1) Irydion. 2) Gitara. 3) Niger. 4) Abo. 5) Cejlon. 6) York. 7) Kraków. 8) Rubens. 9) Aloes. 10) Serbia. 11) Indye. 12) Cezar. 13) Kirchholm. 14) Irtysz.

Ignacy Krasicki.